

Włodzimierz Malawski.

Aktorstwo — to stan do niedawna jeszcze wykłety. Aktorów nie uważali ludzie za swoich współbliznich. W średnich wiekach, w pewnych krajach, ciążyła nad nimi klątwa prawa, a nawet i kościelna. Biedny „histryon“ nie miał spokoju za życia, ani po śmierci. „Homini vagantes“ — włóczęgi, jak ich ustawa nazywała, nie mogli się nigdzie stale osiedlać, ani zamieszkiwać. Najwolnomysłniejsze stosunkowo prawo magdeburskie — wyjmowało ich z pod ochrony ustaw, a po śmierci — nie sprawiano nawet wędrownemu artyście chrześcijańskiego pogrzebu. Po za obrębem cmentarza, w niepoświęconej ziemi, składał niejednego artysta prawdziwy — kości swoje na wieczny spoczynek.

Z biegiem wieków i lat, przyszło społeczeństwo do przekonania, że zawód artystyczny, jakimkolwiekby on nie był — zasługuje na należyty szacunek. Dzisiaj — w teatrze polskim, mamy dość przedstawicieli „żywego słowa“, którzy stwierdzają niezbicie, że uprzedzenia towarzyskie i kastowe, w odniesieniu do nich, były śmiesznością i anomalią. Mamy w teatrze ludzi, którzy nie dla wątpliwej a karkołomnej kariery, życie i zdolności swe scenie poświęcają. Mamy ludzi z wyższymi aspiracjami, z wyższym wykształceniem nawet, którzy nie wzdrali się pójść za głosem wrodzonego popędu i — zostali... aktorami. Do takich wyjątko-



Fot. T. Bahrynowicz. Lwów.

wych indywidualności należy sympatyczny śpiewak lwowskiej operetki — Włodzimierz Malawski.

Pan Malawski jest z zawodu lekarzem. Studya medyczne kończył w Krakowie, w rodzinnym swoim mieście, gdzie należy do jednej z pierwszych patrycyuszowskich, mieszczańskich rodzin.

Już jako student i akademik, oddawał się Malawski z zapamiętaniem, cechującem przyszłego artystę — sztuce śpiewaczej i organizowaniu kółek śpiewaczych. Gdy wreszcie przejadł mu się móżdżek a suche studya medyczne — powziął śmiałą myśl: wstąpienia na scenę.

Młody śpiewak musiał w początkach swej artystycznej kariery borykać się z niejedną techniczną trudnością, czekającą na każdego debiutanta. Nieobycie się ze sceną, nie całkiem umiejętne sceniczne władanie świetnym zresztą głosem i nieodzowna trema aktorska, były na razie przeszkodą dla Malawskiego w osiągnięciu tych sukcesów, jakimi się dzisiaj cieszy.

Dziś jest Malawski wyszkolonym, świetnym śpiewakiem i aktorem operetki. W repertoarze swoim liczy z górą 50 oper lżejszych i 100 operetek! W osiągnięciu niebywanych tych wyników, pomaga mu znakomicie niezwykle zmysł słuchu, wrodzona inteligencja i wykształcenie. To też w krótkim czasie stał on się ulubieńcem lwowskiej publiczności, która bez Malawskiego nie może sobie po prostu wyobrazić — nadpełniańskiej operetki!..

KREW CYGAŃSKA

NAPISAŁ
E. VEZZARO.

(Dokończenie).

Tylko hrabia Nondikow był cichy, zamknięty w sobie i jakiś zadumany.

Mój urlop się już kończył. Wiedziałem, że z dnia na dzień wzrastało przywiązanie wzajemne baronowej i Alicji — a wkrótce, gdy już choroba baronowej zupełnie ustąpiła, widywałem je obie, jak pod rękę spacerowały po parku.

W końcu na parę dni przed odjazdem, postanowiłem zrobić rozstrzygający krok.

Udałem się do barona i powiedziałem mu wszystko, co myślę o Alicji i Wandzie.

Zostałem jednak przyjęty zimno, nawet z widoczną niechęcią, zrozumiałą tembardziej, że już tyle razy został oszukany.

Musiałem odjechać do Wiednia, gdyż już zaczynał się mój *engagement*, a przy ogromnej ilości zajęć i pracy, mało miałem czasu na zajmowanie się dalszym losem Alicji.

Ona pisywała dość często nawet do mnie a i ja odpisywałem jej na każdy otrzymany list. Z listów jej przebiegało ciche zadowolenie i radość ze swego losu — ale równocześnie można było wyczytać między wierszami i z poszczególnych słów, rzucanych bez ściślejszego związku z innymi zdaniem, że trawi ją i w duszy włada tęsknota tajemna i gorące pragnienie spełnienia czegoś, co serce strasznie pokochało.

Było to jednego dnia.

Cyrk, w którym występowałem, był pełny i właśnie rozpoczęły się produkcje na koniu, gdy nagle w loży zobaczyłem moich znajomych z Aradu, a mianowicie hrabiego Nondikow, siedzącego z prawej strony Alicji, która miała twarz uśmiechniętą i oczy błyszczące radością, a obok baronową, która widocznie już całkiem wyzdrowiała. Za nimi siedział sam baron, który przyglądał się moim produkcjom z widocznym zainteresowaniem.

Po przedstawieniu oczekiwał na mnie stary *patron*, który poprosił mnie w imieniu baronostwa, żebym zajął do nich.

Tam dowiedziałem się następujących ciekawych rzeczy:

Przed kilku dniami otrzymał baron Fejerhazy list od Wandy z pieczęcią pocztową z Nowego Jorku. W liście tym donosiła Wanda, że nie ona, ale Alicja jest rzeczywistą córką baronostwa.

Matka Wandy, cyganka, ukradła Alicję ze zamku z zemsty za to, że baron kazał raz obatożyć jej męża. Z trwogi jednak przed potężną wolą pana Aradu, uciekła walcząc często z niedostatkiem i głodem, z trudnością udało jej wymknąć się policy, która często wpadała na jej ślady.

Złożona w końcu chorobą, po paroletniej wędrowce, oddała swe dzieci do trupy cyrkowej, którą spotkali w Alzacji. Sama pozostała także przy tej trupie — a gdy po paru latach umierała, dzieci

oddała dyrektorowi, prosząc go, by Alicję odesłał rodzicom.

Jednak stało się inaczej.

Oba dzieciaki były przedewszystkiem pupilami całej trupy — a sam dyrektor był w dzieciach zakochany i nie chciał się zgodzić na rozstanie z niemi. Myślał może, że kiedyś zarobi na ich występach pieniądze! I w tym wypadku nie omylił się, gdyż przez kilka lat obie „siostry“ występowały w jego trupie, objeżdżając całą Francję.

Nagle jednego dnia Wanda z Alicją uciekły do Paryża — i tam zostały zaangażowane na występy.

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności udało się Wandzie zabrać wszystko — co jej i Alicji dotyczyło.

Wkrótce potem powróciły obie siostry do Budapesztu, gdzie miała rozwiązać i wyjaśnić się cała historia ich życia.

Na zamku w Aradzie zakochał się hrabia Nondikow w Alicji i poznał jej dobre i szlachetne serce, któremu górowała nad swą rzekomą siostrą Wandą. W zimie jeszcze przyszedł do skutku ich ślub — a przedtem jeszcze i baron i jego żona uznali Alicję istotnie za swą córkę, gdyż serdeczny stosunek jej do baronowej mógł wpływać tylko z niewidocznego ale istotnego związku pokrewieństwa.

Życie moje płynęło jak i przedtem, prawdziwie po cygańskie. Jeździłem z różnymi trupami do różnych miast.

Poznawałem coraz nowych ludzi, coraz nowe historie zaprzątały mi głowę — i zapominałem nawet już o Wandzie. Pewnego razu spotkałem ją przypadkowo w Wiedniu.

Był to prawdziwy przypadek!

Spotkałem ją w jednej z podrzędnych restauracji na przedmieściu, gdzie pełniła rolę kelnerki.

Byłem zdziwiony, że spotykam ją w takim otoczeniu i oczom swoim nie chciałem wierzyć!

Otaczał ją dziki i pijany tłum, a ona — zdawało się — że czuje się panią wśród tego wstrętnego, cuchnącego wódką żywiołu! Wydało mi się, że najlepiej właśnie czuje się w takim towarzystwie.

Chciałem do niej przemówić, ale nie wiedziałem z czem się odezwać.

Zdawało mi się, że musiała już zapomnieć moim do ludzi.

Twarz jej podobną była do maski: wyniszczona i zdaje się przemęczona, czarowała jeszcze i podbijała ten tłum spitych wielbicieli swemi czarownymi, błyszczącymi, jak żarzące się ogniki, oczyma. Głos jej był jakiś przedarty, a śmiech suchy i szorstki — tylko w oczach jednych znać było życie.

Po pewnym czasie zaszedłem do tego samego zaułku na przedmieściu — ale nie zastałem już Wandy.

Powiedziano mi, że zmarła w szpitalu z ran, które jej w bójce zadał jeden z jej adoratorów.

ANTONI CZECHOW.

WILK

(Z prac drukowanych po śmierci autora).

Z rosyjskiego przełożył M. S.

Zamożny ziemianin Niłow, barczysty, silny jak tur meczynszyna, znany w całej gubernii z swej nadzwyczajnej siły, wracając wraz z sędzią śledczym Kuprianowem z polowania do domu, zaszedł do młyna starego Maksyma. Obaj myśliwi mieli do domu niedalej, jak dwie wiorsty, ale byli tak zmęczeni, że postanowili dłuższy czas odpocząć w młynie, i to tembardziej, ponieważ stary Maksym miał zawsze znaczny zapas herbaty i cukru, a oni sami nieśli w swych torbach wódkę, koniak i przekąski różnego rodzaju.

Stary Maksym przyjął swych gości z otwartymi ramionami, a myśliwi siadłszy za stołem i zaspokoiwszy głód, wzięli się do herbaty i gawędki.

— A cóż tu u was słysząc nowego dziadku? — zapytał Niłow Maksyma.

— Nowego? — zaśmiał się stary — ano chyba to słysząc nowego, że chciałem prosić waszą miłość o pożyczanie mi jakiej strzelbiny!...

— A na cóż wam tej strzelbiny dziadku?

— Po co? Ot właściwie to ona mi niepotrzebna, a człowiek mówi ot tak, żeby tylko gadać. Przecież za kiego widzę, żeby mógł strzelać!... Czort wie skąd, ale zabłąkał się wściekły wilk w nasze strony i od dwóch dni kręci się już w tej okolicy. Wczoraj pod samą wsią zarżnął konia i rozdarł dwa tegie brytany, a dziś rano, kiedy o świtanu wyszedłem przed młyn, patrzę, a ta szelma przekłeta siedzi sobie na łące i tłucze się łapskiem po pysku. „Ahu!“ wołam do niego, a on patrzy na mnie takimi niesamowitemi oczyma, jak zły duch. Ja rzucam na niego kamieniem, a on psubrat zęby do mnie wyszczerzył, oczyma błysnął jak pochodniami i potem powoli zaczął się skradać w stronę lasu... Mówię waszym miłościom, że się niemało przestraszyłem!

— Dyabli wiedzą!... — zamruczał sędzia śledczy Kuprianow — wściekły wilk szasta się po okolicy, a my włóczymy się, jak gdyby nic nam nie zagrozało!...

— Wielkie rzeczy! przecież mamy strzelby ze sobą!

— Nie będziesz chyba Niłow świtem strzelać do wilka!...

— Po co strzelać zaraz? Kolbą można go ubić poprostu!

I Niłow zaczął udowadniać, że niema chyba nic łatwiejszego, jak kolbą zabić wilka, przyczem opowiedział wypadek, w którym jednym uderzeniem zwykłej laski, rozciągnął ogromnego, wściekłego brytana.

Ciąg dalszy nastąpi.